
MARIA GRZEGOROWSKA

ZAPAMIĘTANE

W numerze 33/2008 „Zesłańca” opublikowaliśmy informację o konkursie na wspomnienia czasu wojny, zorganizowanym staraniem Koła Związku Sybiraków w Ursusie oraz tamtejszego Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Zamieściliśmy też w nim wspomnienia laureatki konkursu, St. Karaimowej, pt. *Moje życie*. Na konkurs wpłynęły trzy wspomnienia związane z tematyką syberyjską; kolejne, również wyróżnione, autorstwa Marii Grzegorowskiej, drukujemy obecnie.(red.)

Jest noc czerwcową 1941 roku, pod rozgwieżdżonym niebem Wileńszczyzny jadę z mamą wynajętą furmanką przez czarny las w kierunku dworca kolejowego w Woropajewie. Tam NKWD formuje pociąg z rodzinami polskimi, skazanymi na Syberię. Tej nocy, gdy funkcjonariusze NKWD przyszli po naszą rodzinę, zastali w domu tylko ojca i moją młodszą siostrę, bo my z mamą byliśmy u okulisty w Postawach i tam przenocowałyśmy. Po powrocie zastałyśmy splądrowane mieszkanie, a od sąsiadów dowiedziałyśmy się, że ojca i siostrę zabrało NKWD do transportu, do Woropajewa. Pracujący w sąsiedniej wsi przy kopaniu torfu brat mamy, dowiedziawszy się o nocnej deportacji, przyjechał pożyczonym rowerem, aby wesprzeć rodzinę. Został aresztowany i odwieziony do więzienia w Wilejce – jak nam powiedzieli sąsiedzi.

Mama nie wahała się – zostać, czy dołączyć do męża i córki; spakowała pośpiesznie do dwu plecionych kufrów to, co mogło być najbardziej potrzebne na Syberii, w tym nasze kożuszki sprawdzone mroźną zimą 1940 roku. Wynajęta furmanka po kilku godzinach dowiozła nas na stację. Był już wczesny ranek, zobaczyłyśmy długi pociąg towarowy, stojący na bocznym torze. Drzwi wagonów były pozamykane, a wzdłuż pociągu przechadzali się uzbrojeni żołnierze. Mama poszła do kierownika pociągu, aby dowiedzieć się, w którym wagonie jest połowa naszej rodziny: mąż i dziecko. Tak bardzo chciałam, żebyśmy ich odnalazły, żeby być razem.

Wreszcie drzwi jednego z wagonów odsunięto i zobaczyłam ojca. A więc są już odnalezieni, jesteście razem. Szybko załadowano bagaż: owe kufry tzw. kosze, worek z ciepłymi rzeczami i starannie osznurowaną sporą paczkę, która odegrała wielką rolę w czasie naszej syberyjskiej

tułaczki. Kiedy wdrapałam się do wagonu, z górnej pryczy wyjrzała moja młodsza siostra, pytając czy jest mama i czy przywiozłyśmy naszą ukochaną lalę, zamykającą oczy, bo kiedy pakowali się z tatą, to ten pan z karabinem nie pozwolił jej zabrać. Mogła wziąć tylko małego murzynka, który zmieścił się w kieszeni, a lalkę ten pan zabrał. Murzynek był jedyną zabawką mojej 5-letniej wówczas siostry; jedyną zabawką, która z nami wędrowała przez pięć lat spędzonych na Syberii.

Przez kilka godzin jeszcze pociąg stał w Woropajewie, dołączono dalsze wagony, przywożono dalsze rodziny – bez odłączanych od nich mężczyzn, z wyjątkiem starców. Przyszła nasza kochana niania Kasia, przyniosła trochę słoniny i kilka podsuszonych serków – co miała pod ręką.¹ Produkty te, razem z niewielką ilością mąki i kaszy jaglanej, z zapasów kuchennych naszej mamy, były podstawą wyżywienia przez pierwsze trzy miesiące naszego pobytu w Barnaule, gdzie wywieziono nas na zesłanie. Niania żegnała się z nami ze łzami w oczach, potwierdziła, że mężczyzn, odłączonych od rodzin, przewiozło NKWD do więzienia w Wilejce. W więzieniu tym znajdował się jeden z braci mamy, aresztowany wiosną, mniej więcej na miesiąc przed naszą deportacją. Teraz więc obydwaj znaleźli się w Wilejce, a byli oficerami Wojska Polskiego, którzy po klęsce szukali schronienia u starszej siostry na Wileńszczyźnie; mama czuła się więc za nich odpowiedzialna. Prosiła nianię, asby ta postarała się dowiedzieć cokolwiek o ich losie i niania przyszła jeszcze raz wieczorem. Przyniosła wiadomość, że więźniowie są wyganiani z więzienia i ustawiani w kolumny kierowane na wschód, a samo więzienie podobno zamknięto. Do końca życia babcia nasza nie chciała uwierzyć, że wujkowie zostali zakatowani przez zbrodniarzy NKWD, latami trwały poszukiwania przez Czerwony Krzyż. Teraz wiemy, że zginęli gdzieś między Wilejką i więzieniem NKWD w Riazaniu, na DRODZE ŚMIERCI.

Kiedy zbliżała się noc, wzmogły się krzyki strażników „po wagonam” i pociąg ruszył. Wyjrzałam jeszcze przez zakratowane okienko, widziałam niknące budynki stacyjne. Nie zdawałam sobie sprawy, że krajobraz ten widzę ostatni raz w życiu, że nigdy już tu nie wrócę. Jako 9-letnie dziecko żegnałam kraj moich lat dziecińczych. Po dramatycznych zdarzeniach dwu ostatnich dni usnęłam szybko w monotonnym rytmie pociągu. Chyba na drugi dzień żegnaliśmy Wileńszczyznę; dorośli mówili, że jedziemy na wschód. Kiedy pociąg stawał, odsuwano drzwi, bieглиśmy jak najszybciej w krzaki, a dwie osoby z każdego wagonu w asyście uzbrojonego wartownika szły na stację, gdzie pobierały wrzątek, tzw. kipiatak – wiadro na wagon; czasem drugie wiadro zupy, lub kaszy. Po kilku dniach podróży przejeżdżaliśmy przez góry Ural, była noc, niewiele widać – grozę budziły ciemne ściany wykopu, w którym jechał pociąg, porośnięte z

¹ Niania – Katarzyna Nesterowicz przeżyła wojnę w rodzinnej wsi pod Łuczajem, przyjechała do Polski w latach 50-tych, zmarła w Szczecinie.

rzadka zielenią. Nad nami na pogodnym niebie majaczyły gwiazdy. Słyszałam głosy dorosłych, że opuszczamy Europę i nie wiadomo, czy i kiedy zobaczymy ją ponownie; wszystko to sprawiało, że serce ściszał żal i niepokój. W głębi wagonu kilka osób modliło się półgłosem.

Po paru dniach, w czasie postoju naszego pociągu na boczniczy jakiejś większej stacji, usłyszeliśmy dochodzące z dala głucho dudnienie. Ludzie, którzy wrócili z gorącą wodą ze stacji przynieśli nadzwyczajną wiadomość: Niemcy bombardują naszych prześladowców, czyli jest wojna niemiecko-sowiecka! To było krótko po 22 czerwca 1941 roku. Jesteśmy w Azji, jedziemy już 12 dni, mijamy nie zatrzymując się dużą stację Nowosybirsk; nie wiemy, dokąd nas wiozą i co z nami będzie? Na stacji Barnaul pociąg zatrzymuje się na bocznym torze i przychodzi polecenie: wyładowywać się. Zostajemy między torami na noc, jest chłodno, okrywamy się, siedząc na jakże przydatnych koszach. Po nocnej drzemce nie ma już pociągu, który nas tu przywiózł; nie wiadomo – co dalej?

Wreszcie podjeżdżają ciężarówki, ładujemy się z bagażami, jedziemy jakby przez małe miasteczko lub wieś; potem okazało się, że to peryferie dużego, „wojewódzkiego” miasta. Wjeżdżamy na teren ogrodzony kolczastym drutem. Okazuje się, że to cegielnia i że mamy zamieszkać w suszarni. Jest dach i betonowa podłoga, ścian nie ma, a obok sterta usuniętych z naszego powodu stojaków. Koło tej sterty desek myśliśmy się wodą przyniesioną przez dorosłych z niedalekiej pompy. Nadchodzi wiadomość, że teren obozu możemy opuszczać (dorośli) po otrzymaniu przepustki, sprawdzanej przy bramie. Dla naszego pociągu przeznaczono kilka suszarni, więc ciasno nie jest, ludzie moszczą sobie legowiska na betonie. Rodzice rozpakowują osznurowaną paczkę, którą udało się przemycić na stacji w Woropajewie – a jest to ... łóżeczko! Nieduże, młodzieżowe, moje drewniane łóżko, rozkładane, które po opakowaniu grubym workiem nie zwróciło uwagi strażników; teraz jest jedynym meblem naszej zbiorowej sypialni. Wyścielone ubraniami – w braku materaca – służyło mnie i mojej siostrze do spania „na waleta”. Rodzice spali na betonowej podłodze, jak wszyscy wokół; potem łóżeczko wędrowało z nami przez kolejne baraki. W ostatnim - przed wyjazdem do kraju – zostało zaatakowane przez pluskwy, których nie dało się zwalczyć. Barak zbudowano na prędcie z drewnianych bali, uszczelnionych mchem i ta plaga – pluskwy – tam rezydowały. W marcu 1946 roku, gdy opuszczaliśmy ten zapluskwiony barak, łóżeczko zostało w opustoszałej izbie, już jako „zabytek” – ślad naszego niełatwego życia na zesłaniu.

Wracam do pierwszych tygodni naszego pobytu w Barnaule. W barakach przeznaczonych do suszenia cegły mieszkaliśmy do pierwszych mrozów, które przyszły w październiku (zimy tam są ostre i długie). Udruką w tym czasie było przygotowywanie posiłków, oczywiście z produktów zabranych przy deportacji. Żeby coś ugotować, trzeba było iść do dołów po wybranej glinie i tam rozpalać ogień między dwoma ceglami, pod garnkiem. Wracając do baraku któregoś dnia z ugotowaną strawą, upadłam na rżysku i

zraniłam nogę. Zmyłam krew z ziemią i czekałam na powrót mamy. Kiedy wróciła, okazało się, że nikt nie ma jodyny ani innego środka, którym można by ranę zdezynfekować. Na drugi dzień mama poszła do miasta, do apteki, ale nim wróciła wieczorem, bandaż z lnianej szmatki przysechł i bardzo bolało oderwanie go od wielkiej rany. Rana goiła się przez parę miesięcy, a blizna pozostała do dziś. Nie mieliśmy żadnej opieki lekarskiej przez te pięć lat na zesłaniu, nie licząc przyznanej pod koniec, po wojnie, możliwości korzystania z odległej o parę kilometrów przychodni. Raz chciała z niej skorzystać nasza mama z młodszą siostrą; siostra zemdliała w zatłoczonej poczekalni, dzięki czemu lekarz ją zbadał.

Wkrótce przeniesiono nas do innego baraku tej samej cegielni. Były tam ściany dzielące go na mniejsze pomieszczenia i piętrowe przyce („nary”), a obok Polaków mieszkali w nim również Litwini. W październiku opuściliśmy cegielnię („kierpicznyj zawod”) i przeniesiono nas do naprędce zbudowanych baraków dla uciekinierów. Słyszało się, że co parę dni przyjeżdżają pociągi z mieszkańcami miast zachodnich ZSRR, ewakuowanymi z zakładami pracy. Uciekali przed Niemcami, zajmującymi kolejne duże miasta sowieckie; trwała wojna. Baraki były otynkowane, ale zimne i zawilgocone. W naszej izbie był piec kaflowy, ale brakowało opału, a gnieździły się tam trzy rodziny. Przyszła epidemia odry, opieki lekarskiej nie było, dzieci masowo chorowały. Niemal codziennie wynoszono trumienki ze zmarłymi na odległy syberyjski cmentarz. Tej strasznej zimy nasza dzielna mama zdobyła nowe mieszkanie, na innym osiedlu, zwanym Tec. Tam były piętrowe baraki z drewnianych bali, suche. Nasza izba była malutka. Ledwo udało się w niej ustawić nasze łóżeczko i dwa „kosze”, na których sypiali rodzice. Była to trzecia przeprowadzka, a latem 1942 roku czekała nas kolejna – czwarta i w Barnaule – ostatnia.

Ojciec pracował fizycznie na budowie. Po wypadku, który go spotkał w drodze z pracy, otrzymał przeniesienie do kolchozu odległego o kilkanaście kilometrów (ojciec był agronomek). Przyjeżdżał tylko na niedziele, pokonując z przewoźnikiem wartkie wody szerokiej rzeki Ob, bo kolchoz był położony za rzeką. Któregoś dnia, latem 1942 roku, nasza mama, wracając z miasta, spotkała na dworcu kolejowym Polaków, jadących do polskiej armii, tworzonej staraniem gen. Władysława Sikorskiego. Ojciec szczęściem był u nas, popędził na stację i zabrał się z tymi rodakami. Na wiele lat straciłyśmy z nim kontakt; dziś wiem, że przez Persję dotarł do Afryki, po przejściu ciężkiej malarii został zdemobilizowany z kategorią D. Nad jeziorem Wiktorii, w sercu Afryki, uczył w polskim gimnazjum chemii i fizyki. Uczennicę naszego ojca, z afrykańskiego osiedla Koja, spotkałam przypadkowo w Kanadzie, w Toronto. Kiedy likwidowano osiedle w 1948 roku, ojciec miał do wyboru: mógł jechać do Anglii, do Kanady lub do Polski. Wybrał powrót do kraju, gdzie był źle traktowany, jako żołnierz gen. W. Sikorskiego.

Powstała w Barnaule tzw. Delegaturę utworzono w naszym osiedlu, w tym baraku, gdzie przeżyliśmy zimę. Nas przeniesiono do sąsied-

niego, do większej izby, dzielonej z dwiema samotnymi paniami. Izba była narożna. W zimie jedna ściana pokrywała się grubą warstwą lodu, przymarzał do niego dywanik nad łóżkiem. Ten dywanik, „tkanina ludowa” według katalogu, znajduje się dziś w Kolekcji Sybirackiej Muzeum Niepodległości na Cytadeli.

Dzięki porozumieniu Sikorski – Stalin, zorganizowano w polskich osiedlach przedszkola. W naszym były dwie grupy wiekowe: 6 – 8 lat i 8 – 12 lat, było też nieco „dożywiania”. Byłam w starszej grupie, czytaliśmy na głos polskie książki (pamiętam Sienkiewicza), graliśmy w gry zespołowe. Zaczęła napływać żywność z UNRR-y, między innymi mleko w proszku, fasola w puszkach. Ojca nie było, mama pracowała (była nauczycielką), ja musiałam jej pomagać. Jednej zimy pracowałam dorywczo z innymi polskimi dziewczynami w fabryce konserw. Dostawałyśmy jakieś kopieiki oraz kości, głównie nóżki baranie, z których gotowało się wywar. Jadało się też tzw. makuchy – wytłoczyny, sprasowane odpadki po produkcji oleju słonecznikowego. Po wodę chodziło się daleko. Czasami udało się wycygnąć wiadro od dziewczyn z sąsiedniego „poprawczaka”. Chleb był na kartki, 400 gramów na osobę dziennie, po wystaniu w długich kolejkach. Trochę jarzyn przynosiło się z dalekiego kolchozu, z wymiany za bieliznę pościelową, czy ręczniki, lub inne rzeczy tego rodzaju.

Bardzo smutny był dzień, gdy przyszła wiadomość o śmierci gen. W. Sikorskiego. Delegaturę zamknięto, ustała wszelka pomoc UNRR-y. Potem powstał w Barnaule Związek Patriotów Polskich, kojarzony z Wandą Wasilewską, znaną nam z „Płomyka”. Utworzono szkołę dla polskich dzieci. Do tej szkoły chodziłam do IV, V i VI klasy. Ożywiło się życie kulturalne naszej polskiej grupy, powstał chór szkolny i zespół taneczny. Ja byłam w zespole recytatorskim, gdy my – Polacy uzyskaliśmy dostęp do rozgłośni radiowej. Pierwsza polska audycja, to była krótka pogadanka i wiersz pt. „Co to jest Polska?”, deklamowany, a właściwie odczytany przeze mnie. Jak wypadła audycja – nie wiem, bo nikt w osiedlu nie miał radia. Ponieważ miałam dobrą opinię u pani od polskiego, włączyła mnie do zespołu redagującego gazetkę. Kiedy zaczęto mówić o zbliżającym się terminie powrotu do Polski, pani polonistka zaproponowała, abym napisała artykuł do ostatniego numeru gazetki, związany tematycznie z naszym powrotem do kraju. Napisałam, jak proponowała, a że się jej podobał, poleciła abym odczytała go na ostatnim spotkaniu naszej młodzieży, klas V-VII. Kiedy skończyłam czytać i spojrzałam na słuchaczy, zauważyłam, że wielu z nich po prostu płacze.

Po załatwieniu formalności związanych z powrotem do Polski (niestety nie wszyscy mogli wrócić, była ostra selekcja), nadszedł ten dzień radosny, gdy załadowaliśmy się do wagonów. Podróż była podobna do tej sprzed pięciu lat: wagony towarowe z dziurą w środku, w charakterze ubikacji, piętrowe prycze – ale drzwi nie były zamykane przez uzbrojonych wartowników. Zaś kolejarze, którzy obsługiwali nasz bardzo długi pociąg odzywali się życzliwie, żartując po białorusku, lub po polsku.

Miałam już 14 lat. Czasem szłam z dorosłymi po „kipiatok” lub zupeć, pomagałam nieść wiadra. Gdy kolejarze mówili po polsku – to był znak, że zbliżamy się do nowej polskiej granicy.

Podróż trwała kilka tygodni. Nie zauważyłam, czy i kiedy przejechaliśmy przez Woropajewo, gdzie formowany był nasz pociąg przed pięciu laty. Nie pamiętam formalnego przekroczenia granicy sowicko – polskiej, ale pamiętam, jak pociąg stanął na pierwszej polskiej stacji. A więc za nami pozostał koszmar zesłania – a co będzie przed nami, to się okaże; będzie to na pewno lepsze życie w wolnym kraju.²

² Opracowała do druku Krystyna Żemralska.